

1

Wywiad przeprowadzony z ojcem Mieczysławem Bednarzem – luty 1991 rok

Nazywam się Mieczysław Bednarz, jestem jezuitą od roku 1933. W roku 1939 kiedy wybuchła wojna byłem w Krakowie i ewakuowany byłem wraz z Kolegium krakowskim na wschód do Hyrowa, uciekając po prostu przed Niemcami. Dotarłem aż do Włodzimierza wołyńskiego, gdzie rodzice mojego kolegi też jezuita Jana Zajączkowskiego tam mieszkali. Mieli piekarnię, przede wszystkim dla wojska. Tam właśnie 17 września 1939 roku weszła Armia Radziecka. Wielokrotnie starałem się o legalne przekroczenie granicy, aby wrócić w rejon zajęty przez Niemców, gdzie mieszkali moi rodzice i gdzie odbywały się nasze studia zakonne. Studiowałem wtedy filozofię. Niestety mimo wielu obietnic takiego zezwolenia władze sowieckie mi nie dały. Tak, że z początkiem 1940 roku zdecydowałem się na przejście nielegalne. Na granicy wraz z Janem Zajączkowskim zostałem aresztowany przez straż przygraniczną na Bugu 9 stycznia 1940 roku. Najpierw umieszczono nas w więzieniu na Brygidkach, później przeniesiono nas do więzienia centralnego w Brześciu. Tam przesiedziałem prawie do końca września 1940 roku. Tam też zapadł wyrok zaoczny. Zostałem skazany na pięć lat łagrów. Potem przewieziono nas do Orszy, gdzie siedziałem w dawnym kolegium jezuickim przerobionym na więzienie, a potem zostałem stamtąd przewieziony już transportem do Kotłasu. Stąd przypdzielano nas do różnych obozów. Ja dostałem się w rejon Uchty w tajdze, w okolicy wideł Peczory i tam pracowałem przy wyrębie lasu. Ten stan rzeczy bardzo trudny, odmroziłem stopy i musiałem mimo to chodzić do pracy, a jedliśmy tylko raz dziennie, więc byliśmy wyciężeni trwał do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej (22 czerwca 1941 roku).

31 lipca 1941 roku w dzień naszego patrona Ignacego przyszła amnestia i dowiedziałem się, że jestem ją objęty. Upłynęło jednak dość dużo czasu zanim zmieniły się warunki (około dwóch miesięcy) i ogłoszono nam, że jesteśmy wolni. Dostałem taki papier zaświadczający, że jesteśmy wolni, ale nigdy nam nie powiedziano gdzie generał Anders tworzy armię. Dopiero w Buzułuku żeśmy się o tym dowiedzieli. Kazano nam podjąć decyzję, nie dając nam przez dwa dni jeść, a polegała ona na tym, że mieliśmy się zgodzić wejść na barki przygotowane w porcie Ejinom skąd mieliśmy być przewiezieni do stolicy Republiki Komi, a stamtąd jako wolni obywatele mieliśmy być porozdzielani do różnych prac. Ja miałem pracować gdzieś w tartaku. Zauważyłem, że wieczorem kiedy nie dano nam jeść, mówiąc, że jak wejdziemy na barki to dostaniemy chleba, zaczęto otaczać nas wojskiem, to wtedy ze swoim kolegą po prostu stamtąd uciekłem.

Tułałem się, aż do tarliśmy do torów kolejowych. Na jakiejś stacji zatrzymał się pociąg towarowy wiążący jakieś konstrukcje metalowe do mostów i myśmy się do niego dostali i przyjechaliśmy do Kotłasu. Tam w Kotłasie tułaliśmy się jakiś czas. Chcieliśmy jechać dalej, ale nie bardzo było wiadomo gdzie jechać. Wreszcie dostaliśmy się do pociągu, który nas dowiózł do Kirowa. W

2

Kirowie nocowaliśmy na dworcu w jakimś opuszczonym wagonie. Nagle w nocy słyszemy krzyk, wrzask, przekleństwa w polskiej mowie. Te przekleństwa brzmiały bardzo miło w uszach, bo po polsku. Oczywiście wyszliśmy zobaczyć kto jedzie. Okazało się, że jechała cała gromada polskich żołnierzy z Syberii właśnie do armii generała Andersa. Zgłosiliśmy się do oficera prowadzącego. Przyjął nas bardzo chętnie i tak dostaliśmy się do Buzułuku. W Buzułuku było już pełno więc nas skierowano do Tockoje. I tam w połowie października zostałem wcielony do VI Dywizji generała Tokarzewskiego. Potem cała nasza dywizja została przerzucona do Uzbekistanu. Mój 17 pułk dostał się do miejscowości Jakoba w Uzbekistanie i tam wtedy postanowiono otworzyć szkołę podchorążych w Szachezjabs. Ponieważ miałem maturę dostałem się do tej szkoły. Dowódcą był major Paczkowski. Po ofensywie włoskiej został pułkownikiem. Zaczny, dobry człowiek. Był świetnym dowódcą.

Dostałem się do kompanii karabinów maszynowych, której dowódcą był dobry, przezacny człowiek, kapitan Władysław Kozakiewicz. Szkoła zaczęła się w marcu 1942 roku, a skończyła się w lipcu defiladą, na którą przybył ksiądz biskup połowy Gawlina. Potem nas rozesłano do pułków, mnie do mojego 17 pułku. 25 sierpnia 1942 roku ruszyliśmy wraz z transportem cywilów, w wielkim tłoku do Iranu. Przewieziono nas do Pahlewi, nad morze, na dwutygodniowy odpoczynek. Później samochodami do Iraku, gdzie służyłem w wojsku polskim, głównie na pustyni. Wtedy rząd polski w Londynie postanowił, aby żołnierze, którzy zaczęli studia przed wojną mogli je skończyć, gdyż po wojnie Polska będzie potrzebowała wykształconych ludzi. Niemcy przecież masowo niszczyli polską inteligencję, wielu ich ginęło też w akcjach bojowych. W ramach tej akcji rozesłano po oddziałach okólnik, aby się zgłaszali klerycy zakonni lub diecezjalni, którzy mieli rozpoczęte studia przed wojną. Zgłosiło się około dwudziestu takich kleryków. Załatwiono z francuskimi Jezuitami w Bejrucie, że będziemy mogli u nich skończyć studia przygotowujące do kapłaństwa. W lutym 1943 roku wraz z transportem broni, który szedł do Egiptu udaliśmy się w podróż. Jechaliśmy przez Bagdad, Palestynę, Jerozolimę do Bejrutu. Njpierw skończyłem kurs filozofii, a potem czteroletnie studia teologiczne. Wśród tych, którzy razem ze mną tam byli był późniejszy kardynał Rubin, ojciec Paduch, który niedawno zmarł w Nowym Sączu i wielu innych. Studia ukończyłem w 1947 roku i otrzymałem święcenia kapłańskie. Zdeydowałem się wrócić do Polski, mimo iż mogłem jechać do Anglii, do Stanów, gdyż potrzeboano kapłanów dla naszej rozproszonej po świecie polonii.

Wróciłem do Polski w sierpniu 1947 roku. Przebywałem głównie w Krakowie, gdyż zostałem skierowany na studia historyczne na Uniwersytet Jagielloński. Studia rozpocząłem w 1948, a skończyłem w 1952 roku. Zajmowałem się przede wszystkim pisarstwem. Napisałem kilka prac historycznych. Jestem też kapelanem Związku Sybiraków oddziału krakowskiego.

Wracając jeszcze do tego smutnego okresu aresztowania w 1940 roku, to pamiętam, że chociaż

2

w tym czasie Hitler i Stalin byli podobno przyjaciółmi, lecz w czasie przesłuchania stawiano nam zarzut szpiegostwa na rzecz Niemców. Oczywiście zarzut był bezpodstawny, więc udowodniono mi tylko to na czym mnie złapano – na nielegalnej próbie przekroczenia granicy i za to dostałem pięć lat łagrów. Moi sędziowie śledczy byli dość ludzcy, mimo iż chcieli mnie namówić do ożenku i to do tego jeszcze z Żydówką. Oczywiście wiedzieli, że jestem duchownym, ale byłem młody, miałem 22 lata i jeszcze nie miałem święceń kapłańskich. Oczywiście kpili ze mnie, ale nie bili i nie znieważali. Ja oczywiście trzymałem się tego kim jestem i kim chcę być. Do żadnych imputowanych mi przestępstw się nie przyznawałem. Pamiętam, że w celi na Brygidkach było nas dużo, mężczyźni, dzieci i kobiety razem. Byli to więźniowie zatrzymani przez straż przygraniczną, a nie przez NKWD. Jak nas wypuszczali za swoją potrzebą to oczywiście wszystkich naraz, na taki ogromny dziedziniec, co było ogromnie krępujące zwłaszcza dla kobiet. Zimą to wszystko zamarzało, ale wiosną kiedy nas było jeszcze więcej i przyszły roztopy, to był niemożliwy fetor i olbrzymia masa ekstermentów. Trudne to było do wytrzymania. Ale już w więzieniu centralnym, świeżo zbudowanym przed wojną cele były przeznaczone na 6 więźniów, ale nas siedziało dziewiętnastu. W maju 1940 roku aresztowano masę Żydów, którzy chcieli wracać do Generalnej Guberni, ale zostali aresztowani i tym samym ocaleni od śmierci z rąk niemieckich, lecz i tak skazywano ich na łagry gdzie wielu zmarło na Syberii, ale i wielu dostało się do wojska generała Andersa. W owym czasie w takiej 6-osobowej celi siedziało nas około trzydziestu, co już było rzeczą straszną. Okien nie można było otwierać. Czasami tylko otwierano drzwi. Przeniesiono nas z Brygidek do więzienia centralnego w styczniu, a na spacer więzienny wyprowadzono dopiero w maju. Mięśnie mieliśmy zwitczale, tak że na dół jakoś żeśmy zeszli, ale wejście na górę było bardzo trudne, bo byliśmy bardzo słabi.

W celi modliliśmy się razem. Oczywiście nie odrazu. Jak przyszedłem do celi było wiele „brudnych rozmów”. Również ci, którzy przybywali nowi do celi początkowo też prowadzili takie rozmowy. Wspólne modlitwy jak gdyby to zmieniły. Więźniowie później sami tępiłi takie zachowanie. Miałem dwóch przyjaciół w celi w Brześciu. Jeden to był Żyd z Łodzi, Szymon Rapides, zapamiętałem go na całe życie. Był pobożny, religijny naprawdę dobry człowiek. On widząc, że się modlę nabrał do mnie dużego zaufania. Opowiedział mi całe swoje życie. Był synem rabina, zakochanym w córce rabina. Rodziny postanowiły, że mogą się pobrać, ale pod warunkiem, że on też zostanie rabinem. Mimo, że był bardzo religijny nie chciał być rabinem. Rodzice więc go wydziedziczyli i wyrzucili z domu, a on został zwyczajnym robotnikiem. Pracował w fabryce i już wtedy uprawiał pewnego rodzaju apostołstwo. Pilnował, aby robotnicy nie przepijali zarobków i żeby nie przeklinali w obrzydliwy sposób. Drugim to był o dziwo człowiek skazany na dożywocie za morderstwo. Siedział na Świętym Krzyżu, ale wojna go stamtąd zwolniła. Był to Zygmunt Pilitowski. Był to człowiek potężnie zbudowany, silnej ręki, bardzo sprawiedliwy i uczciwy. Wszyscy w celi

4

podporządkowywali się jego przywództwu. On pilnował, aby życie w celi było sprawiedliwe, uczciwe, aby nie było przekleństw. Tak, że pod tym względem cela była właściwie wzorowa. Modliliśmy się razem, było dużo rozmów, rozmaitych wspomnień. Między nami był taki cukiernik z Warszawy, którego wypytywano o przepisy różnych ciast, a myśmy je sobie wyobrażali. Wywoływało to dużo śmiechu i żartów. W związku z tym okres pobytu w więzieniu wspominam jako okres ludzki. Nie robiliśmy sobie żadnych złośliwości i atmosfera była raczej przyzwoita i modlitewna. Oni zresztą wiedzieli, że jestem klerykiem. Nie było też w naszej celi żadnego antysemityzmu. Zresztą Rapides mi raz sam powiedział: „Słuchaj, jak ja patrzę, jak Żydzi postępowali w Polsce, to się dziwię, że w Polsce jest taki mały antysemityzm.”

Siedząc w więzieniu sami żeśmy się do łągru wrywali, bo to przestrzeń powietrze, las. Strażnicy nam mówili żebyśmy się tak do tego łągru nie spieszyli, bo oni wiedzieli co to jest. W łągrze to była istna wieża Babel. Byli ludzie wielu narodowości: Rosjanie, Polacy, Żydzi rosyjscy i polscy, muzułmanie z republik azjatyckich, Węgrzy, Żydzi austrijscy. Po prostu różne wyznania i różne narodowości. Muszę powiedzieć, że chociaż było daleko do II soboru watykańskiego, to tam był praktykowany pewien ekumenizm. Wzajemne zrozumienie. Było ważne, że sam fakt, że czy ty jesteś Żydem, czy katolikiem, czy protestantem, czy prawosławnym, ale wierzysz w Boga. Wiara w Boga była pewnym czynnikiem jednoczącym ludzi. Pamiętam taką scenę, że kiedy pracując w zachodniej *komandirowce*, gdzie byli *woszczyki*, przy kolacji było nas może trzydziestu ja zawsze żegnałem się. Jeden z *woszczków* przypatrywał mi się pilnie. Kiedy wstaliśmy od stołu podszedł do mnie i spytał czy ja jestem wierzący. Odpowiedziałem, że tak. Powiedział, że jest Ormianinem i też jest wierzący. Nabrał do mnie sympatii właśnie za tą wiarę. Zproponował, że będzie mi odstępował zupe, bo on jeździł po obozach, miał kontakt z żywnością i z *zirianami* (tubylcami), to zawsze sobie coś przywoził do jedzenia. Było to dla mnie bardzo dużo, bez tego bym napewno szybko zmarniał. Tak więc wiara w Boga integrowała. Bo w tym środowisku, które było w większości ateistyczne znaleźli się ludzie wierzący, to ich to zbliżało do siebie.

Czekając w Kotłasiu na wysyłkę do obozu, spotkałem księdza z Grodna (nazwiska nie znam), któremu przyznałem się kim jestem. Chodząc z nim po zonie wyspowałem się. Potem do spowiedzi i komunii przystąpiłem dopiero będąc w wojsku polskim. Pamiętam też Boże Narodzenie 1940 roku w Kotłasiu. Przygotowaliśmy sobie małe zapasy czarnego, obozowego chleba, aby jakoś wspólnie przeżyć tą wigilię, podzielić się tym chlebem, zaśpiewać kolędę. Mieliśmy to zrobić gdzieś o czwartej po południu i właśnie tuż przed tym, nie wiem czy celowo, zabrali nas stamtąd. Przenieśli nas do takiego olbrzymiego namiotu, ogrodzonego, a były straszne mrozy. I tak to cośmy sobie planowali jako wspólne przeżycie spelzło na niczym. W zasadzie w baraku, a później w namiocie współwięźniowie nie wiedzieli, że jestem duchownym. Władze łągierne wiedziały. Po

5

prostu w łagrze nie rozmawiało się wiele. Człowiek jak wrócił potwornie zmęczony po kilkunastu godzinach pracy i zjadł zupę na jakiś łbach rybichych, po prostu patrzył tylko aby się położyć. Zresztą ja nie będąc jeszcze kapłanem nie próbowałem ani mszy odprawiać, ani spowiadać. Modlitw wspólnych w łagrze nie było i to też nie dlatego, żeby się bano. Były łagry gdzie nad ludźmi się znęcano, ludzie potwornie cierpieli, ale tam gdzie ja byłem w okolicach Uchty, to służba łagierna nie była najgorsza, nie znęcano się nad nami. Na przykład jak był wielki mróz, to apele robili w barakach. Trzeba było tylko siedzieć spokojnie, nie ruszać się, aby mogli nas policzyć. Znowu jak przyszła wiosna i deszcze padały to nas też nie wypuszczali na deszcz. Nawet ci co nas wyprowadzali do pracy zwracali się czasami z prośbą, żeby uważać na oficerów kontrolnych jak będą szli, bo chcieli się przespać. Jak żeśmy widzieli, że oficer się zbliża budziliśmy ich. Nieraz częstowali nas machorką.

Wspominałem, iż ludzie się nie modlili nie ze strachu, ale z potwornego zmęczenia. Zresztą moja modlitwa też nie była pełna. Główną moją modlitwą był wyjątek z psalmu 43, który był łacińską ministranturą do Mszy świętej. Dopiero w Tockoje znów mogłem uczestniczyć w mszy, spowiadać się i w pełni modlić. Jednak wiara pomagała przetrwać, dawała pewną siłę. Przy tym myśmy i intelektualnie byli pzytępieni. Tak, że gdybym ja bym był tam dłużej, to praedopodobnie w tych warunkach bym długo nie pociągnął. Tak, że w warunkach łagiernych trudno było marzyć o stworzeniu wspólnoty kościelnej, tymbardziej, że tam gdzie ja byłem, to nie było księdza. Czynnikiem, który jednak pomagał wielu ludziom przetrwać, nie załamać się, to była wiara. Pmiętam taki jeden szczegół jeszcze z więzienia. To było w taki słoneczny dzień majowy, gdy puścili nas na więzienny spacer, byliśmy oszołomieni przyrodą, słońcem. Oglądaliśmy drzewa, zieleń. Wreszcie wróciliśmy do celi, a siedział z nami pan Olszewski, piekarz ze Sniadowa koło Ostrołęki i taki był uradowany. Pytamy co go tak ucieszyło. A on odpowiada, że się spotkał z żoną i dziećmi na spacerze. Myśmy nie rozumieli. A on zaczyna nam tłumaczyć, że jak on tu patrzył na słońce, które go tu oświeca i grzeje, to oni tam w Sniadowie też to samo odczuwają, patrząc na słońce. Inny taki szczegół, któryśmy bardzo przeżyli, to był wtedy gdy jeden z naszych współwięźniów zachorował. Waliliśmy w drzwi, aby przysłali lekarza. Po pewnym czasie przyszła młoda, wiosennie ubrana lekarka. Do białej bluzki miała przypiętą kiść kwitnącego bzu. W tej więziennej celi, pełnej mężczyzn był to widok niecodzienny.

Kraaków — luty 1991 rok